

RODZINA

PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 25

Czwartek, dnia 22-go czerwca

Rok 1916

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

XIV.

Dwa czy trzy miesiące upłynęły bez żadnego ważniejszego wypadku i jesień ustąpiła miejsca zimie, zwykle dość ostrej w tamtych okolicach.

W zimowej porze zmieniają się miejscowe zwyczaje. Z braku zajęć wśród pola, zbierają się sąsiedzi po domach i tam zasiadłszy przed ogniskiem, pracują wszyscy czy to przędząc len, czy przebijając tatarkę, czy też poprostu naprawiając starą odzież, a przy tem wszystkiem słuchając długich, tajemniczych opowieści, od których najodważniejszym nawet włosy stają na głowie.

Miejsce tańców na świeżem powietrzu, na trawniku, zastępują teraz zebrania wieczorne, nieraz w późną noc się przeciągające, gdzie w wesołym gwarze żwawo idzie robota i popija się lekkie wino Berger z kukurudzanymi płaczkami, albo zajada się pieczone kasztany, maczane w mleku. Prawdziwa to przyjemność uczestniczenie w takiej wieczornicy, na którą każdy przynosi zapas dobrego humoru, a czasami i sporą dozę dowcipu. Co najważniejsza, że nie ma żadnych przygotowań. Większość zbiera się jedynie dla wspólnego przepędzenia czasu, a niekiedy tylko jaki pustak wymuska się pretensjonalnie, albo wystroi i wyelegantuje jaka kokietka wiejska.

Zebrania te odbywają się zazwyczaj w kuchni.

Na obszernym kominię, przypominającym feudalne czasy, płonie jasny ogień, utrzymując miłe ciepło w izbie, a pięć lub sześć świec żywicznych, rozwieszonych po ścianach, kopiąc w miarę, dostarczają trochę niezbędnego światła. Pod nimi mieszczą się szwaczki, podczas gdy w środku sali chłopcy i dziewczęta zajmują się niby łuszczeniem złotej kukurydzy, a rzeczywiście bawią się przrzucaniem jej z ręki do ręki, dopóki kto niezgrabny nie upuści jej na ziemię, za co spotyka go surowa kara, bo w tej chwili, przy ogólnym śmiechu, zasypują go kaczanami i całami lodygami.

Nie myślcie znowu, żeby wszystko to odbywało się z zupełnym spokojem; owszem, bardzo często się zdarza, że w wesołym tem kole spotkają się dwie rywalki, albo dwaj zacieci wrogowie: w takich ra-

zach powstaje sprzeczka, kłótnia, pogrożki; ale na głos najstarszego wiekiem, zwykle gospodarza domu, czoła się schylają, umilknie duch niezgody, nikt bowiem z obecnych nie śmie oprzeć się powadze „starego”.

Wśród takich to długich zimowych wieczorów wyradzają się owe naiwne podania miejscowe, owe tchnące grozą legendy, nie dające się ani powtórzyć ani naśladować. Podczas opowiadania w zgromadzeniu najgłębsza panuje cisza; ktośby bo śmiał przerwać niebaczem słówkiem rzeczy tak straszne i okropne! Zazwyczaj rzecz obraca się w dziedzinie duchów, wilkołaków i bohaterskich czynów, dokonanych przez trzech braci wieśniaków, z których dwóch było mądrych, a jeden głupi. Nieboszczykowie jeżdżą tam na ognistych rumakach: złośliwe duchy zjawiają się niespodzianie, i z równym pośpiechem znikają za zrobieniem znaku krzyża świętego; wampiry i czarownice włączają się po Bożym świecie, jak za dobrych czasów, a wszystkiemu temu towarzyszy przeraźliwe szczekanie psów, jęki pułaczów, zgrzytanie zębami potępieńców i złowieszcze śmiechy złego ducha, przebranego za urodziwego królewicza, albo ukrywającego się pod postacią stuletniej baby.

Pewnej nocy, na przykład, zapukał ktoś do drzwi w jednym — rozumie się, niewymienionym folwarku. Chociaż było to po północy, w godzinie, w której duchy najwięcej dokazują, służąca pobiegła otworzyć.

— Kto tam? — zapytuje.

— Biedny podróżny — odzywa się głos płaczliwy zewnątrz.

Służąca dostrzega wśród cieniów bogaty ubiór, zdradzający świetne stanowisko nieznanego, ale że to roztropna dziewczyna, podaje mu przez uchylone drzwi krucifix. Podróżny cofa się z przestrachem, służąca więc zatrząskuje drzwi pośpiesznie, ma już bowiem dowód oczywisty, że to był djabeł przebrany. Że zaś szczęśliwym wypadkiem nocny gość nie zdążył usunąć się w porę i wpadł w samotrzask, pokazało się nazajutrz, że był to wilkołak, bo z brzaśkiem dnia odzyskał napowrót sierść wilczą i pod tą postacią ubili go wezwani o pomoc sąsiedzi.

Trzeba widzieć te twarze młode i stare, jasne i opalone, jak się zwracają w jedną stronę, ku opowiadającemu. Wszyscy słuchają go z natężoną uwagą, z ożywionym wzrokiem, w którym obok ciekawości, przebija to radość, to znów przestrach lub zmartwienie stosownie do treści opowiadania.

A kiedy się już dosyć w ten sposób nagadają, naśmieją i nasłuchają cudownych historii, przychodzi kolej na skromny posiłek, składający się z pieczonych kasztanów, albo z placków kukurydzianych. Do tego przynosi gospodyni dzbanek domowego wina, z którego każdy pije po kolei drewnianym kubkiem. Pora już bardzo spóźniona. Trzeba się rozejść. Tworzą się większe i mniejsze grupy; tu członkowie jednej rodziny, tam znów bliżsi sąsiedzi, odprowadzający się wzajemnie. Około północy każdy już jest u siebie w domu. Wieczór minął jak jedna chwila, skończyła się zabawa.

Kiedyż się znowu powtórzy, również przyjemna i wesola?

XV.

Jeżeli zabawa wieczorna odbywała się w La Queyrie, Piotruś nie zaniedbał nigdy przybyć jeden z pierwszych. Miał wyznaczone miejsce obok Milki, przy kominię, gdzie rozmawiali swobodnie i poważnie, jakby dwoje dorosłych.

Wśród żartów i zabawy nazywano ich mężem i żoną.

Milka śmiała się z tego, podczas gdy Piotruś rumienił się i gniewał, albo też utrzymywał, że nie myśli wcale się żenić; co, rozumie się, jeszcze większe wybuchy śmiechu wywoływało w całym towarzystwie.

XVI.

O Jaśku nie myślano już więcej.

Stary Pascala upiśmował, że go odesłano do ojca, a następnie umieszczono w Mussidan, dość daleko od Saint-Aivere.

Czas szybko ubiegał. Piotruś był zawsze dobrym synem, pniym i pracowitym chłopcem; jak dawniej tak i teraz dzielił swój czas pomiędzy pracę, odwiedziny u matki i codzienne wizyty w La Queyrie; z tą tylko różnicą, że rósł tymczasem. Z naabytkiem sił pracował teraz znacznie więcej na folwarku, ale i Terradowie zwiększyli mu odpowiednio płacę, skutkiem czego i staruszką matka jego w lepszym znalazła się bycie. Bohater nasz widocznie piękniał z każdym rokiem i rozwijał się bujnie, jak młode drzewko pod ożywczemi promieniami słońca. Zmężniał, oczy jego nabierały większego blasku, z jasnego, szerokiego czoła przebijała inteligencya i prawość charakteru. Mając lat dwanaście, Piotruś był najładniejszym dzieckiem w Saint-Aivere; w osmnastym roku stał się najpiękniejszym chłopcem na całą okolicę. A podziwiała matka jego, jakże dumna była ze swojego syna! Ona, co od lat wielu prawie wcale nie opuszczała mieszkania, wybrała się raz umyślnie, aby wsparta na rękę syna, pokazać się w głównej ulicy wioski i pochłubić się swoim skarbem przed całym światem.

Bo też naprawdę pięknym mężczyzną był Piotruś. Wysoki i dobrze zbudowany, miał miłą szeroką, rękę i nogi silne i kształtne. Nie była to wszakże zwykła piękność wieśniacza, o grubych, niemiłych formach; owszem, gdyby chciał tylko, niejedna dziewczyna radaby nawiązała z nim miłosnym jego oświadczeniom; ale Piotruś ani myślał o czem podobnem. Nazywano go nawet ładnym, gdyż z dziewczętami rozmawiał rado, a do tańca prawie nigdy ich nie zapraszał. Oczywiście, że na każdej zabawie miał gotową tancerkę w Milce Lorin, a tancerkę nie do pogardzenia.

Jeżeli bowiem widział Piotruś i młodzienice nica

Pascala przez ten czas nie próżnowała, a gdy on przekształcał się w dorodnego mężczyznę i ona również przyszyjała się w uroczej dziewicy wdzięku.

Na święty Jan, w jeden miesiąc później po ukończeniu przez Piotrusia lat osmnastu, Milka dosięgła szesnastego roku życia. Szczupła i zgrabna, o ciemnym błękitnem oku i bujnych zwojach blond włosów, zachowała zawsze płec delikatną, cokolwiek tylko opaloną na słońcu, jak blade różowy winogrod muszkatełu.

Nie była ona bardzo wykształconą, ale posiadała daleko więcej wiadomości od swoich rówieśniczek wieśniaczek, Piotruś bowiem powtarzał jej codziennie wszystko, czego tylko nauczył się od proboszcza, a przytem opowiadał jej, co wyczytał w książkach. Mówiła też językiem poprawnym, umysł miała rozwinięty, co nie przeszkadzało jej wcale być dobrą gospodynią.

Ojciec Lorin nie posyłał jej nigdy do roboty w polu; żądał tylko, aby zajmowała się gospodarstwem domowem, czuwała nad drobiem i mleczym.

Kiedy dosięgła lat szesnastu, rodzice jej postanowili uroczystie ten dzień obchodzić. Zaproszono wszystkich znajomych do La Queyrie i przyjęto ich, sutą kolacją, podczas której zjawił się na chwilę i ksiądz proboszcz przez życzliwość dla dziewczynki, której udzielił chrztu świętego, widział jak wzrastała i uczył ją katechizmu.

Wielki stół zastawiony był w ogrodzie pod owym olbrzymim wiązem. Milka siedziała na pierwszym miejscu, mając z lewej strony wuję, z prawej pana Plumardie, a naprzeciwko Piotrusia, którego matka jakkolwiek zaproszona, nie mogła przybyć z powodu podeszłego swego wieku.

Jakżeż piękna była Milcia w skromnej swojej sukience! Wszyscy obecni składali jej życzenia z okazji wstąpienia jej w lata dziewicze i żartując dopytywali się, kiedy będą ją mogli w własnym jej domu powitać. Ona zbywała zaczepki milczeniem, albo też odpowiadała, że jeszcze o tem nie myśli!

Lorinowie promienieli z radości — nie mieli i goście, ożywieni dobrem winem i smacznymi potrawami, głośnie wynurzali swoją przyjaźń i życzliwość. Dwie tylko czy trzy dziewczyny z całego towarzystwa milczały uporczywie, a jak złośliwi utrzymywali, przyczyną tego była zazdrość, jaką wzbudzała w nich niespopolita piękność młodej solenizantki.

Podobnie jak one, i Piotruś był milczący. Wydawał się zasmuconym, twarz miał bladą, nie brał udziału w rozmowie, nie nie pił ani jadł. Widocznie musiał mieć jakieś zmartwienie, aż Milcia, zajęta z początku gośćmi, spostrzegła wreszcie zmianę na jego twarzy, co i jej popsuło zaraz zabawę.

W tej chwili zauważyła, że uczyła zbyt długo się ciągnie i niecierpliwie oczekiwała jej zakończenia. Skoro tylko wstali od stołu, zbliżyła się do Piotrusia i zapytała go, dlaczego jest taki pochmurny, zamysłony i nic nie mówi.

Piotruś popatrzał na nią smętnym wzrokiem.

— Za wiele jest osób, abym mógł z tobą pomówić, Milko — odpowiedział. — Nie chciałbym, aby ktoś obcy wniknął naszą rozmowę.

— Czy takiego masz mi do powiedzenia?

— To tylko nas dwojga dotyczy.

— Chceż zaraz wiedzieć!

— I ja również chciałbym pomówić z tobą, ale tylko z tobą samą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBRAZKI BIBLIJNE.

Prorok Aggeusz.

(Dokończenie)

W księdze Ezdrasza czytamy o dwóch powrotach żydów do ojczyzny: pierwszy pod dowództwem Zorobabela, drugi pod wodzą Ezdrasza i Nehemiasza. Za Zorobabela powróciło około pięćdziesięciu tysięcy żydów wraz ze sługami i służebnikami. Powracający należeli głównie do trzech pokoleń, a mianowicie: Judy, Beniamina i Lewi. Byli także potomkowie innych pokoleń, ale w znacznej mniejszości i wkrótce pomieszały się z powyższymi. Jedno tylko pokolenie Lewi nie mogło przyjmować do siebie potomków innych pokoleń, i Zorobabel albo Atersata, jak go Pismo święte z chaldejska tytułuje, postanowił, aby każdy, nie będący w możności udowodnienia na piśmie należenia do pokolenia Lewi, był przyłączony do innych pokoleń.

Przed udaniem się w daleką podróż zebrali się wszyscy przy rzece Ahawa, dopływie Eufratu, gdzie nakazano ścisły post i modły, aby Bóg pobłogosławił w podróży i uchronił od licznych nieprzyjaciół, czyhających na zgubę Izraela. Poczem pokrzepieni na duchu udali się w drogę ku Jerozolimie. Jaką zaś drogę obrali, Pismo święte nie nam nie nadmienia, to tylko pewne, że musiała ona być połączona z różnemi przeciwnościami ze strony nieprzyjaciół żydowskich, o których Pismo św. tak mówi: „Ręka Boga naszego była nad nami i wybawił nas z ręki nieprzyjaciela i czyhającego na drodze.” Nie wiemy też, jak długo żydzi byli w podróży — pisarz święty załatwił się z tem bardzo krótko: „I przyszliśmy do Jerozalemu” (księga Ezdr. VIII, w. 32).

Wypoczynek w Jerozolimie po tak uciążliwej podróży trwał trzy dni, poczem wzniesli żydzi ołtarz całopalny i złożyli Bogu ofiary. W tym czasie wyznaczono wszystkim Izraelitom siedziby, położone bliżej Jerozolimy, które mieli oni objąć w swoje posiadanie; później zaś, po drugim powrocie pozostałych żydów w Babilonie, wyznaczono dalsze strony, których wszakże granice trudno oznaczyć.

Rzecz naturalna, że taka łaska królewska, z której żydzi korzystali, nie mogła się podobać narodom sąsiednim, a tem więcej zamieszkującym Palestynę, w których posiadaniu była własność żydowska, według słów proroka Jeremiasza: „Dziedzictwo nasze obrotło się do cudzych, domy nasze do obcych”.

Południowa część Palestyny nie miała zapewne wielu mieszkańców, pustą jednak nie była; środkową zaś część zamieszkiwali Samarytanie, naród mieszaniny z Izraelitami, przesiedlony z Mezopotamii przez Salmanasara, króla asyryjskiego. Nie odrazu wszakże musiały narody te nieprzyjaźnie wystąpić przeciwko żydom: cudowne sprawy, jakie Bóg dziaiał dla swego ludu wybranego, były świeżo w pamięci, dlatego z obawy przed pomazą Jehowy, przynajmniej otwarcie, nie występowano przeciwko żydom. Spokój jednak nie długo panował.

Po zagospodarowaniu i zupełnem urządzeniu się na wyznaczonych siedzibach pomyślano o budowie świątyni, bez której czuli się żydzi nieszczęśliwymi. Siódmego przeto miesiąca po powrocie z niewoli, zgromadzili się wszyscy w Jerozolimie dla obchodu święta Kuczek, i naradzenia się względem budowy świątyni. Postanowiono przystąpić do roboty bezwzględnie, powołując do pomocy Sydończyków i Tyryjczyków, którym Cyrus rozkazał dostarczać cedrów z Libanu

Fundament świątyni poświęcono uroczystie przez różne modły zanoszone przed tron Jehowy o pomysłność w pracy i w dokonaniu tak wielkiego przedsięwzięcia.

Wiadomość o budowie świątyni w Jerozolimie rozeszła się lotem błyskawicy wśród wszystkich sąsiednich narodów. Samarytanie, uważający się za prawych czcicieli Jehowy, ponieważ obserwowali prawo Mojżeszowe, (czego jednak żydzi nie uznając, mieli ich za gorszych od pogan) ofiarowali swoje usługi przy budowie świątyni i wznoszeniu murów miejskich. Zorobabel sprytnie i dyplomatycznie odmówił przyjęcia ich usług: „Nie możecie wy z nami”, powiada do nich, „budować domu Bogu naszemu, ale my tylko sami zbudujemy Panu Bogu naszemu, jako nam rozkazał Cyrus, król Perski”. Właściwie Zorobabel lękał się, aby lud ten nie był zgorszeniem dla żydów, dlatego zakazał wszelkich z nimi stosunków.

Po takiej odprawie Samarytanie zapalili wielkim gniewem względem żydów i odłąd postanowili zemstę. Trudnem to im nie było, skoro nie tylko oni jedni żydom byli nieżyczliwi. Wkrótce za pomocą przekupstw zdołali Samarytanie uzyskać zakaz królewski wznoszenia świątyni i nawet im samym dano nakaz nad spełnieniem tego rozporządzenia. Przez długi czas Samarytanie niepokoiili żydów, dopiero przy zmianie nowego króla udało się żydom uzyskać nowy edykt, pozwalający na dokończenie świątyni.

W tym czasie występują na widownię prorocy Aggeusz i Zacharyasz.

Zanim przystąpiliśmy do opisania życia tych proroków, uważaliśmy za konieczne poprzedzić opisem powrotu żydów z niewoli, przez co bardziej była dla nas zrozumiałami prorocтва tych dwóch sług Bożych.

Z PRZYRODY.

Jelonek (po niem. Hirschkäfer.)

Gdy wiosna dosięgnie największego rozkwitu, a drzewa, krzewy i zioła roztoczą wokół swą won czarującą, w mrocznym dębowym lesie rodzi się król naszych chrząszczów — jelonek, rogaczem inaczej zwany.

Rycerz to i świetny i wspaniały, cały okuty w ciemno-brązowy chitynowy pancerz, a olbrzymią głowę samca zbroją wspaniałe, o trzech rozgałęzieniach, zwrócone ku sobie rogi.

Dąb jest kolebką, siedzibą i spiżarnią jelonka. Ślusznie, iż król chrząszczów naszych na królu drzew obrał sobie siedziskol Tu składa swoje jajeczko samica; w próchnicy dębu żyją — w ciągu lat kilku — wyklute z jajeczek gasienice, tu chrząszcz-olbrzym spędza swój żywot cały, a oczekujące na korze rany dostarczają mu pokarmu. Gdy się spotka jelonek na innem drzewie, trafi to tylko przygodny.

Wielkość jelonka jest znaczna; nieraz u samców do trzech cali dochodzi. Samiczki są wogóle mniejsze, a mała ich głowa jest pozbawiona głównej ozdoby samca — rogów.

W czerwcu na skałeczonych dębach można znaleźć całe kolonie jelonków, nieraz z kilkunastu osobników się składające. Czy nęci je tu tylko pożywienie, czy też zgromadza chęć zżerania się i wogóle, czy rządzi tu jaka nęść ogólna? — Może

Z czasem odpowie nam na te pytania cicha praca badacza.

W takiej kolonii, obok wielkich okazów, dużo jest mniejszych i zupełnie małych jelonków, a z nich niektóre zaledwie trzeciej części wielkich dochodzą. Członkowie kolonii niechętnie przenoszą się na inne dęby, chyba że pożywienia zabraknie. Tu też kojarzą się małżeństwa, tu odbywają pojedynki o ideały...

Strasznym jest w walce jelonek: wielką swą głowę z wspaniałymi rogami podnosi dumnie wysoko i zawzięcie ściga przeciwnika. W tym śmiertelnym pościgu rycerze potykają się i mocują z sobą, w końcu zwykle spadają na ziemię. Tu dopiero odbywa się właściwy pojedynek, zapaśnicy stają na tyłne nogi, podnoszą się wysoko, przedniemi nogami biorą się za bary i mocują się jak dwaj siłacze. Słychać wtedy i uderzenia twardych pancerzy i zgrzyt ześlizgujących się rogów. Walczący starają powalić jeden drugiego na wznak i pochwycić w pół ciała rogami. Biada temu, który się między rogi dostanie! Zwycięzca przebija mu pokrywy skrzydeł i piersi, chwytając nogami, jakby chciał zniżyć przeciwnika w tym strasznym uścisku.

Zapasy te nie kończą się jednak natychmiastową śmiercią. Często zwycięzca, uznając widocznie, że przeciwnik dość jest ukarany, porzuca go i wraca na drzewo, zdarza się również, że ofiara, skorzystawszy z chwilowego uwolnienia z żelaznego uścisku, ratuje się ucieczką. Zwyciężony uchodzi zwykle z pola walki pośpiesznie, »wielkiemi krokami«, od czasu do czasu wstaje »na palec«, rozgląda się wokół, badając przerażeniem oczami, czy napastnik nie goni, wreszcie schroniwszy się na drzewo, po kilku dniach umiera.

Pomimo wielkości i siły jelonek jest nerwowy: wystarcza silne uderzenie kijem lub kamieniem w pień drzewa, aby siedzące, nieraz blisko szczytu drzewa, jelonki pospadały na ziemię. Tu czas jakiś leżą one nieruchome, jakby w odrętwieniu, za chwilę jednak wracają do życia.

Jelonek zamieszkuje tylko wielkie dębowe lasy, przeważnie w południowym pasie naszego kraju. Szczególniej Lubelskie, Podole i Ukraina obfitują w te owady. Na Ukrainie jelonki zjawiają się na śliwkach, lecz nie są tu stałymi mieszkańcami. Lepki sok, wydobywający się z pękającej kory drzewek śliwkowych, jest dla nich nielada przysmakiem.

Nie rzadko spotkać można samiczki — jelonki obok budynków. Co one tu robić mogą? — pyta zdziwiony domorosły entomolog. Zagadka nie trudną będzie do rozwiązania, gdy przypomnimy sobie, iż budynki nasze stoją na dębowych podstawach. Gdy więc dąb butwieć zaczyna, ciągnie tu samiczki instynkt macierzyński.

Koniec maja lub początek czerwca — to zażywa dobą narodzin jelonka. Lecz już lipiec stanowi kres jego życia.

Na starość, jakby w obawie przed nadchodzącym zgonem, opanowuje jelonka nieprzeparta chęć zmiany miejsca, przebywa wtedy znaczne przestrzenie, lecąc lub idąc pieszo. A że wogóle na lot ciężki, przeto często odpoczywa na drzewach, polach i płotach. Osłabienie jednak sprawia, że nieraz pada. Jeżeli ślepy traf zrzadzi, że padnie na wznak na zaoranym polu, na drodze lub wydmie piaszczystej, jednym słowem tam, gdzie brak roślinności, o którą mógłby się uchwycić... wtedy jest już zgubionym. Brak sił przy znacznym ciężarze cia-

ła, pomimo strasznych wysiłków, nie pozwala mu się podnieść.

Jak zgraja nikczemnych szkalów, czychających na konającego w pustyni wielbłąda, jawią się mrówki — jedna... dwie... trzy... wreszcie cały legion. Z bezczelnością biegać zaczynają po ciele obezwładnionego olbrzyma, drapią, laskoczą swemi haczykowatemi nóżkami, zatryskują kwaśną cieczą swoją w miejsca połączenia pancerzy, wreszcie dostają się pod uchylone pokrywy skrzydeł — do miękkich części ciała. I rozpoczyna się ich tragiczna gospodarka: rwą w strzępy ciało, wyjadają wnętrzności, dostają się pod czaszkę i niebawem jelonek kona w strasznych męczarniach. Gdy już tylko szkielet zostanie, mrówki zaprzestają swego gospodarstwa. I leży tak król chrząszczów polskich, z kurczowo zaciśniętymi nogami, z wpatrzonymi w nieco osłupiałemi oczami, aż wiatr przelotny, ulitowawszy się nad poniewierką kości mocarza, piaskiem je pokryje..

ZAGADKA.

(Podał Stanisław Wyleżuch ze Susca.)

kwi, dy, os, o, hi, mał, an, ksią, o, li, ry, o, ten, pa, po, go, ti, że, ko, ba, nał, ni, da, le, lit, rza, wa, py, wa, zy, ta, ri.

Sylaby ułożyć tak, aby powstały wyrazy, z których drugie litery czytane z dołu w górę dadzą nazwisko wielkiego poety i zarazem malarza polskiego, zaś piąte litery czytane z góry na dół utworzą jedno z najpiękniejszych dzieł jego.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto portowe i zarazem forteca w Rosyi. 2. Schronienie żołnierzy w polu. 3. Tytuł szlachecki. 4. Miasto portowe w Albanii. 5. Imię żeńskie. 6. Imię męskie. 7. Drogie kamienie. 8. Miasto w Belgii. 9. Imię męskie. 10. Siedziba królów włoskich.

Rozwiązanie zagadki z nr. 23go

1. Koran. 2. Oliwa. 3. Neron. 4. Osika. 5. Pasza. 6. Nassawia. 7. Interwencya. 8. Celzyusz. 9. Kairo. 10. Arnold.

KONOPNICKA — ORZESZKOWA.

Rozwiązanie nadesłali: Ignacy Pakulla z Miejskiego Janowa, Franciszek Makiela z Wirku, Jan Muszkiet z Król. Huty, Józef Szendzielorz z Bismarkhuty, P. Pioskowiak z Brzezinki, Albertyna Drzozga z Halemby, Walenty, Benedykt, Franciszek, Tomasz, Wojciech i August Waloszkiowie z Grzawej, Józef Loska z Belgii, Jan Zgrzyzek z Nowejwsi, Herman Kucharczyk ze Średnich Łazisk, Jan Jaksik z Tarn. Gór, Stanisław Chrzaszcz z Dziergowic, Wincenty Herok z Radlina, Walenty Szewczyk z Zawodzia, J. Morawiak z Braunesumpf, Paweł Ligendza z Zabrza, Alojzy Kozidło z Zabrza, Jadwiga Zagrodzka z Krzyżowic, Anna Zdziarek z Kat. Hałdy, Teofil Kuczera, Monika Waloszek, Józef Brzoska, Agnieszka Głosz, Franciszek Cofala, Zofia Ozymajdych, Antoni Wittek, Bronisława Furczyk, Ludwik Maroszek, Augustyna Krzystolik, Jan Plewnia, Otolia Niesyta, Marya Piaruga, Antoni Ulcoczek, Ludwik Sosna, Jadwiga Niesyta, Walek Krasonów, Weronka Michalkowa, Franciszek Wittek, Jadwiga Furczyk, Paulina Cofala, Teofil Sojoków, wszyscy z Miedznej.